4. NUMER. LUTY 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Rajmund Scholz.

Po berło.......

Człowiecze serce idzie przez noc
po swoje berło, świętość i moc,
żenie mgławicą tam, gdzie korona
czeka królewskiem słońcem sycona.

Ogląda wieczność z gwiaździstych niw
bezdrożnej gwiazdy przegonny dziw —
jakoż w zamieci obłędnem kole
gwiazda w pościgu wiecznie wydole?

Mijają wichry z odwiecznych lat:
Wszędzie cię czeka powrotny ślad,
w wszechkrąg nad siecią błąkań pielgrzymią
z dawnych pościgów ogniska dymią.

Rzecze majestat obłocznych skał:
Nad nami pustka, pod nami szał,
a poza wszystkiem w noc pratajemną
i w mróz prawieczny zakrzepłe ciemno.

Rzecze zwierciadło śród morskich lśnień:
Ujrzysz li własny majak i cień,
odkrytych lądów skarby i cudy
starga ci wieczna klątwa ułudy.

Odrzekło serce: kocham i gnam
zastygłym wiekom i nocom w kłam,
choćby za wszystkie skarby i cuda
własna, królewska, wolna ułuda.

Kocham przez pomróz ciemnic i trwóg,
poprzez niewiedzę kresu swych dróg
i pod wiekową błąkań kurzawą
w glob głębiej wkuwam wolne swe prawo.

Idę po berło, świętość i moc
przez długą, czarną, człowieczą noc,
idę mgławicą tam gdzie korona
czeka królewskiem słońcem sycona.

Przezemnie wieczność z gwiaździstych lic
ogląda zaświat światów i mglic,
po gwiazdach struny motam i stroję
i gra mi całe królestwo moje.

W obronie zatracanego piękna.

„Rubaszność gminną wznieść
ponad poziom“. Norwid

Troskając się o trwałość, o niespożytość życia polskiego, musimy zaciągać ustawiczne, nieustające straże na pograniczach naszego obozowiska narodowego, obstawić musimy wszystkie przewody i przełęcze czujnością nieustępliwego baczenia, by wiedzieć, jak sobie poczyna okoliczny, zacięty nieprzyjaciel i jak stoi gotowość nasza. Żyjemy bowiem jakoby w wojennem obozowisku. Tak było przez ciąg historji, tak dziś być winno. Historja polska pokazuje, że żyliśmy prawie zawsze „na wsiadanem“, nikt nie był pewien, czy wstające słońce nie ujrzy go pod wieczór w gorącym „tańcu“ tatarskim, czy tureckim, czy mu ze snu nie przyjdzie zerwać się do broni, czy ostatnia szklanka nie była wypita „strzemiennego“. Żyliśmy zawsze w przededniu walki, nieznanej jakiejś „potrzeby“. Dziś musi być to samo.

Dziś może więcej niż kiedykolwiek żyjemy w obozowisku, w ciągłem pogotowiu, jak dawni towarzysze znaków pancernych: dzień i noc na kulbace. Bo jako ongi, i dziś mamy naokół „dzikie pola“ i dziś czuwa na kresach nieustępliwy, napastny wróg. Jeno że dziś nie stanie on otwarcie, wręcz, samowtór do walki, ale omija pograniczne wedety i wciska się zdradliwie w środek, w ostatnią ostoję samoistności; znieprawia d u s z ę n a r o d u chytrze a milczkiem. Poprzez wszystkie dziedziny życia, przez naukę, literaturę, sztukę, przez politykę, wychodźtwo, handel idzie ku nam wrogi mocny ciąg łapczywej obczyzny i wypiera nasze, rodzime pierwiastki, walory. Dokonywa się zwolna najstraszniejsze wywłaszczanie z ducha, wytracanie niepodległości wewnętrznej. Tu i ówdzie odzywa się obrona, przemawia duch narodu.

Tak wyrósł przewspaniały kwiat niespożytej odrębności ducha polskiego: — romantyzm, a w dużym stopniu i dzisiejsza twórczość literacka; tak rozwinął się polski styl w zdobnictwie i budownictwie. Obie dziedziny — pierwsza w ogromnym stopniu, druga całkowicie — zawdzięczają swój okazały rozkwit trafnemu oparciu się i rozwinięciu pierwiastków ludowych, zawdzięczają tej trwałej, niepołomnej podstawie życia narodowego, *polskiej wsi.* Tak to doświadczenie lat wskazuje nam,

gdzie tętni *nervus rerum,* życiotwórcze ziarno. Trzeba jeno po nie umieć i chcieć sięgać. A oto właśnie zachodzi szybka, wołająca potrzeba sięgnięcia do źródeł.

Już to parokrotnie zwracano uwagę na fakt gwałtownego, postępującego zatracania się chłopskich, oryginalnych strojów. I sprzeciwić się temu niema rady. Trudnoż wymagać od życia, by zwolniło swe tempo, trudno stawać mu w poprzek. Zanik przemysłu tkackiego na wsi, warunki drożyźniane, emigracja i naśladownictwo zwyczajów warstw wyższych — czynią swoje. Chłopski, wspaniały ubior ustępuje miejsca krótkim, niemieckim tużurkom, czasem nawet wojskowym bluzom. Siwe, o mosiężnych guzikach, spencery, kolorowe i obszywane kaftany, biała sukmana, płótnianka, relegowane gwałtownie przez olbrzymi import zagraniczny, zatracają się szybko i zginą, jak zginęła bogata ornamentyka łyżników i sosrębów, pazdury z góralskich koleb, jak zginą z czasem śpiewanki, a nawet i tańce ludowe. Wysunięte poza nawias życia, schroni się to wszystko w mury jakiegoś muzeum etnograficznego, naturalnie, jeżeli się o to rychło jaki „dziwny człowiek“ zatroska. Czas idzie naprzód i niweluje po drodze bezlitośnie wszystko, co nie ma siły, by mu się ostać. Zdaje się, że legnie pod jego stopą prawdziwie piękny, dostojny strój chłopski, że siłą następujących faktów zubożeni zostaniemy znów o jeden, tak poważny walor obrębności narodowej.

Bo w stroju tym jest coś więcej niż osobliwość etnograficzna. Jak w gwarze góralskiej pobrzękują bardzo często spiżowe dźwięki skargowskiej, wujkowej polszczyzny, jak styl t. zw. zakopiański jest ostatnim, szczęśliwie zachowanym przejawem oryginalnego, ogólno-narodowego zdobnictwa staropolskiego — tak strój chłopski jest przechowaną spuścizną stroju ogólno-narodowego, z przed czasów, kiedy to naśladownictwo orjentalnych ubiorów, narzuciło szlachcie jedwabne kontusze i pasy lite. To nie poetycka fantazja, gdy Wyspiański Króla Bolesława Śmiałego ubrał na scenie w krakowską sukmanę i pas szeroki, nabijany. To prawda historyczna. Płótnianka to był ongiś chłopski, pański i królewski strój. A oto wypierają go dziś z ostatnich placówek w imię... ...mody! Jest w tem głęboka, bolesna ironja.

A ratunku czyż niema? Jest. I już jedyny tylko, ale zato niechybny. Co uratowało zatracający się styl zakopiański? Oto znaleźli się ludzie, którzy umieli dojrzeć w nim pierwiastki twórcze, zaródź niespożytości i ci przenieśli go z podhalskiego partykularza na całą Polskę, przywrócili mu jego pierwotny, ogólno-polski charakter, wywalczyli mu prawo obywatelstwa w narodzie całym.

Ten jedyny środek pozostaje i w tym wypadku. Jeżeli chcemy naprawdę ratować zatracające się piękno, jeżeli chcemy zachować p o l s k i s t y l w u b i o r z e, nie wystarczy go admirować pięknym, rozczulającym frazesem, a równocześnie wyznaczać mu rolę Kopciuszka. Trzeba uczynić strój chłopski — s t r o j e m o g ó l n o - p o l s k i m, trzeba oprzeć na nim p o l s k ą m o d ę. Nie eliminować go na wieś, gdzie zmarnieć musi, ale rozciągnąć na wszystkie warstwy, przywrócić mu jego pradawny charakter ogólno-narodowy. Z płótna zgrzebnego uszyć sztandar narodowej odrębności — jak mówi gdzieś Norwid. Naturalnie, że uledz on wtedy musi odpowiedniej ewolucji, przekształceniu.

Na pozór wyda się to dziwactwem. Ale przypominam, że nie inaczej przyjęto prace Witkiewicza, Matlakowskiego i in. Z okazji książki Matlakowskiego: „Budownictwo ludowe na Podhalu“ pisał dowcipnie pewien głęboko subtelny krytyk: „Zakopane leczy podobnoś z chorób piersiowych, ale stanowczo nabawia chorób umysłowych“. A co sprawił Matlakowski, czem jest dziś styl zakopiański dla sztuki polskiej, wszyscy wiemy.

Myśl tu rzucona — jeno na pozór wyda się paradoksem, głębszy jej sens i wartość pokaże się każdemu, kto się poważniej nad sprawą zastanowi. O jej owocności, roli dodatniej dla wzmożenia wytwórczości krajowej, dla usunięcia tak ujemnego w skutkach, na nieporozumieniu i pozorach jeno opartego, rozdziału narodu na „lud“ i „inteligencję“, dla skonsolidowania się ducha narodowego, dla wyzwolenia z tak głębokiego niewolnictwa obyczajowego wobec zachodu, Francji przedewszyskiem — o tem wszystkiem za szeroko by i nie tu miejsce pisać. A wszystko to są przecież atuty duże, nieomal decydujące.

Myśl ta nie jest niewykonalna; zależy to jedynie od zrozumienia jej wartości w sferach decydujących, w owych „górnych dziesięciu tysiącach“, co opinję polską tworzą, co przykładem wywołują naśladownictwo. A już przedewszystkiem zależy od tych nielicznych, którzy polską kulturę budować mają; może się wreszcie gdzie „polskie czoło zakłopota“, może przemówi głos, który „o Polsce ma stanowić“ i oczy współczesnym otworzy. I jeżeli się można odnosić ze sceptycyzmem do podniesionej tu myśli, to chyba jedynie przez głęboką znajomość psychy polskiej, która pilnie baczy, iżby się wypełniło, co jest powiedziane że:

„...Polak częstą mody odmianą się chlubi.
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi“.

W każdym razie tu ją podnoszę, bo może przecież „sprawa godną rozwagi się wyda“.

Stanisław Pigoń.

Najmłodsza Polska w muzyce.

Nakładem firmy Alberth Stahl w Berlinie wyszła partytura symfonicznego poematu Ludomira Różyckiego p. t. „Bolesław Śmiały“.

Wydawnictwo światowej firmy po całym się rozejdzie świecie cywilizowanym, a z niem ra-

zem nazwisko młodego muzyka i o orlim talencie kompozytora. Nazwisko trudne obcym do wymówienia, jednak częściej może będzie wymawiane na świecie z wysiłkiem i fałszywym dźwiękiem, aniżeli u nas.

Bo my ostatecznie wiemy, kto jest Różycki, są jego bezwzględni wielbiciele i fanatyczni zwolennicy, ale na ogół „Bolesław Śmiały“ stosunkowo dość prędko zeszedł z desek Hellerowskiej opery we Lwowie i ogół też nie bardzo dobrze rozumie czego chce Ludomir Różycki, a z nim razem najmłodsza polska muzyka.

Podobno też taki sam kłopot mają i filistrowie innych krajów ze swoją znowu najmłodszą muzyką. W jednem z niemieckich pism humorystycznych, zaraz po wystawieniu najnowszego dzieła Straussa, zdarzyło się nam widzieć rysunek zatytułowany: „tracenie przestępców za pomocą muzyki“. Skazaniec na owym rysunku siedzi na krześle, a do uszu puszczają mu prąd Strausowskiej muzyki, która nań działa tak, jak prąd elektryczny na śmiertelnych fotelach w Ameryce. Ludzie są wszędzie jednacy: nie rozumiejąc, zadowalniajają się dowcipem.

Tylko kwestja, dlaczego osobnik obdarzony tak dobrym słuchem muzycznym, że w lot pochwyci każdego krakowiaka, każdy kawałek wojskowej bandy i każdą arję w nowej operetce, dlaczego uznany czasem i patentowany muzyk doznaje uczucia kakofonii tam, gdzie inni bliźni jego całkowicie w słuch się zamieniają, niewysłowionych doznając rozkoszy? Niektóry poeta tych, którzy go nie rozumieją skłonny jest odrazu nazwać bałwanami i durniami, jeden z muzyków jednak najnowszej szkoły, p. Henryk Opieński postarał się na zręcznem porównaniu gramatycznem wytłumaczyć dlaczego jedni rozumieją a drudzy nie rozumieją. I dobrze zrobił, bo jeżeli ktoś nie rozumie, to... nie rozumie. Na to niema rady, a jedyna pociecha w tem tylko, że się wie, dlaczego się nie rozumie.

Otóż p. Henryk Opieński w rozprawce swojej p. t. „Najnowsze prądy w polskiej twórczości muzycznej“, tak pisze:

„Każde zdanie gramatyczne składa się z podmiotu orzeczenia i przedmiotu. Od zdań najprostszych, z tych trzech jedynie funkcji złożonych, rozpoczynają dzieci naukę składni. Najprostsze zdanie muzyczne (tak zwany okres) jest zbudowane najmniej na dwóch funkcjach harmonicznych, czyli jakby się wyraziło językiem dyletantów, można do niego „dobrać“ dwie harmonie: tonikę, nazwijmy ją podmiotem i dominantę, odpowiadającą orzeczeniu, a najczęściej jeszcze trzecią, którą by „przedmiotem“ nazwać należało — harmonję dolnej dominanty (niezrozumiale u nas poddominantą nazywanej). Takie proste zdania muzyczne, zwyczajnie z ośmiu taktów złożone, są właściwe wielu ludowym piosenkom i tańcom, oraz stanowią istotę prostoty muzyki klasycznej z epoki Haydna i Mozarta. Funkcje toniki, dominanty i dolnej dominanty odczuwa najmniej subtelnie pod względem muzycznym wyrobione ucho, przy pewnej oczywiście dozie t. z. słuchu. Tak jednak jak z prostych zdań, za dodaniem najrozmaitszych przydawek, określeń, wtrąconych zdań, tworzą się okresy stylistyczne, w których uczące się dziecko dopiero po pewnej orjentacji oznaczyć może podmiot, orzeczenie i przedmiot, tak samo w zdaniach muzycznych jasność tych trzech wymienionych funkcji może być pozornie dla ucha zakrytą funkcjami wtrąconemi, czasem, jakby się zdawało, nie należącemi do harmonii podstawowych, które dopiero bardziej subtelnie wyrobione ucho odróżnić a raczej do pewnej całości sprowadzić zdoła.

„I w tem pojęciu tkwi przeważnie tak zwana „zrozumiałość“ i „niezrozumiałość“ (oczywiście akustyczna) muzyki, dodawszy jako objaśnienie, że w samej istocie mniej lub więcej prostej melodji tkwią już zasadnicze zarysy harmonii. Stąd powszechnie za łatwo zrozumiałą uchodzi melodja, która nie wychodzi w swej konstrukcji po za zakres trzech harmonii: toniki, dominanty i dolnej dominanty. Trudną zaś tak dla zrozumienia, jak zapamiętania bywa taka, która potrąca o najrozmaitsze, od owych trzech podstawowych oddalone, funkcje harmoniczne“.

Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego nie rozumiemy. Dla p. Ludomira Różyckiego i jego „Bolesława Śmiałego“ mała stąd — co prawda — pociecha, bo przez dłuższy czas jeszcze zapewne Bolesław Śmiały będzie musiał ustępować miejsca pierwszemu lepszemu „Walcowi miłości“. Specjalnie we Lwowie p. Heller niewątpliwie postara się o to, ażeby „Czar walca“ długo jeszcze królował niepodzielnie w uchu lwowskiej publiczności.

Faktem jest bowiem, że długoletni zastój na polu polskiej muzyki i brak wykształcenia ucha muzycznego u szerszej publiczności, wytworzył się skutkiem muzycznej działalności wielu panów Hellerów, a specjalnie t. z. „warszawskiej szkoły“, pod adresem której muzyczna młoda Polska wypowiedziała już wiele bardzo przykrych rzeczy. Bo w szesnastym i siedmnastym wieku muzyka polska stała bardzo wysoko, w dziewiętnastym mieliśmy Chopina. Niestety jednak nie na Chopinie oparł się rozwój polskiej muzyki, ale na Moniuszce, genialnym piewcy poezji naszych dawnych dworów szlacheckich a właściwie nawet na jego epigonach, którzy stworzyli „szkołę pozornie szowinistycznie polską, odcinającą się murem chińskim od wszelkiego międzynarodowego postępu, w gruncie rzeczy zaś operującą polskimi ludowymi rytmami i melodjami za pomocą pseudoklasycznych niemieckich kanonów“. W tej właśnie szkole widzi najmłodsza muzykalna Polska upadek i zastój, nawet mimo takich nazwisk o europejskiej sławie, jak Wieniawski, Żeleński, Noskowski, Jan Gall i Stanisław Niewiadomski.

Co to jest jednak najmłodsza Polska w muzyce, czego chce ona i kto ją tworzy? Uważa

się za spadkobiercę Chopina w prostej linji, wzbogaconego ponadto jeszcze całym dorobkiem światowej muzyki ostatnich czasów, ojcem jej duchowym Ignacy Paderewski „indywidualność zupełnie odrębna, w zasadniczych ideach pojęcia narodowej muzyki będąca dalszym ciągiem Chopina“ przednią strażą Zygmunt Stojowski, Henryk Melcer, Roman Statkowski, twórcami Mieczysław Karłowicz i spółka wydawnicza młodych polskich kompozytorów w Berlinie, do której weszli panowie Fitelberg, Różycki, Szeluta i Szymanowski, heroldami jej wreszcie p. Adolf Chybiński, Henryk Opieński i inni młodsi krytycy.

Cechą charakterystyczną ich wszystkich jest zależność pewna od Ryszarda Straussa, z czego jak powiada p. Opieński młodym polskim kompozytorom zarzutu czynić nie można, bo „niewiadomo, czy to poddanie się urokowi bajecznie efektownego w swych środkach i pomysłach mistrza, obróci się w naśladownictwo, czy też wzbogaci wiedzę i pobudzać będzie do samodzielności fantazję młodych kompozytorów. Jak dotychczas przynajmniej cały charakter „naśladowania“ Straussa ma cechy zupełnie indywidualne, to jest ogranicza się tylko na używaniu jego środków... Jako postulat przyszłości pragnąć i gorąco życzyć wypada, aby ten wpływ niemiecki, przyczynił się tylko do użyźnienia gleby naszej muzycznej kultury, aby kompozytorów naszych doprowadził do tego rodzaju samodzielności, jaką dziś reprezentuje u nas jedynie Paderewski, najbardziej kulturalny, najbardziej samodzielny i najbardziej po europejsku polski z naszych żyjących kompozytorów“.

Rozpowszechnienie w druku najnowszego dzieła Ludomira Różyckiego, „Bolesława Śmiałego“ jest dla tego dla najmłodszej muzyki polskiej wypadkiem doniosłego znaczenia. Bo w młodym a tak płodnym kompozytorze widzi ona swój filar i przewodnika, który poprowadzić ją ma na nowe tory. Duchowe pokrewieństwo Różyckiego ze Stanisławem Wyspiańskim, dowodzi tylko, że ta najmłodsza muzyka polska będzie też przedewszystkiem muzyką narodową. Już o „Bolesławie Śmiałym pisał dr. Adolf Chybiński: „Celem Różyckiego jest stworzyć postać która byłaby wyrazicielką idei wolności i idei przekleństwa. Postać zaś Bolesława jest płaszczem królewskim który doda tym ideom blasku i życia i stanie się widomym ich symbolem. To oznacza właśnie nie co innego, jak zerwanie z realistycznym światem dawnej opery i dawnych szablonów i przepojenie dzieła ideą, która trawi nasz byt, nasz spokój, nasze myśli o przyszłości, zrodzone z zamierzchłych czasów, jak Feniks odradzające się wśród walki z wrogami naszego jestestwa“,

„W tym Duchu Bolesław Śmiały może być narodowym dramatem polskim więcej niż idylle Moniuszki, niż rodzajowe obrazki jego następców“.

A za Bolesławem Śmiałym krystalizuje się w duszy Ludomira Różyckiego postać Kazimierza Wielkiego, „Warszawianki“... i podobno także wielka opera na motywach renesansowych p. t. „Leonardo da Vinci“.

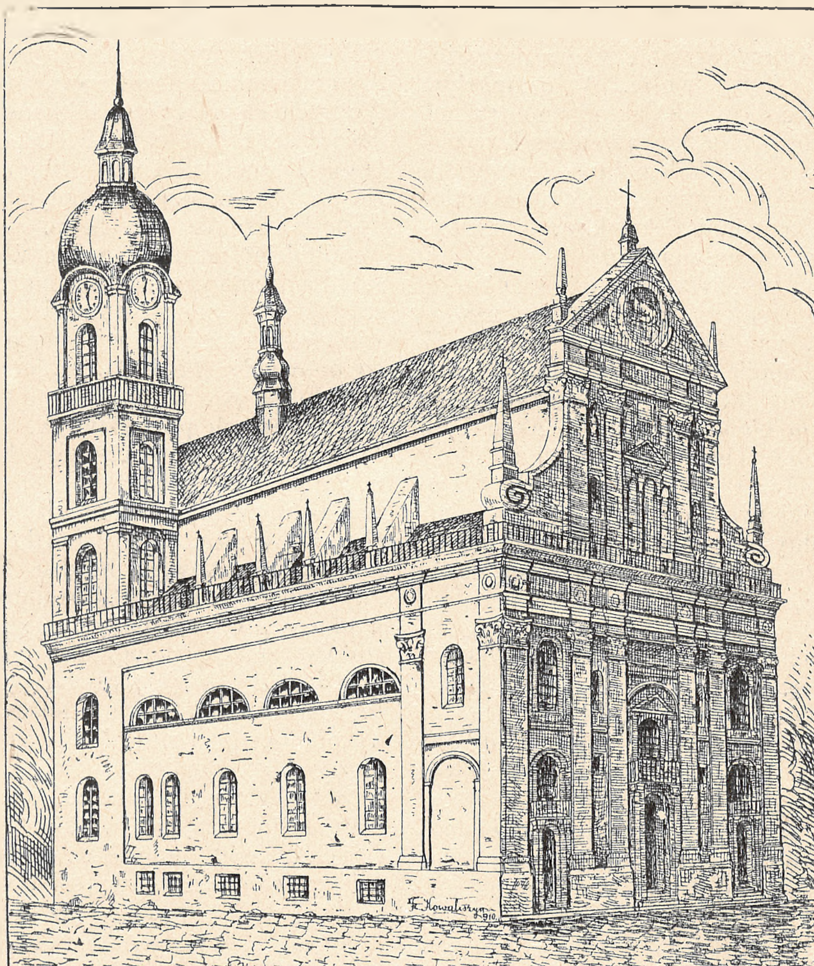
Trzechsetlecie kościoła.

Trzy sta lat mija w roku bieżącym od chwili, w której arcybiskup Jan Zamoyski położył z wielką uroczystością kamień węgielny pod budowę kościoła Jezuitów we Lwowie. Synowie Lojoli czekali długo na tę uroczystość, która była zakończeniem dwudziestoletniego procesu to z miastem, to z żydami. Bo gmina lwowska żydom, a żydzi znowu nawzajem miastu odrzucali niemiłych i nieproszonych gości, sprowadzonych do Lwowa przez arcybiskupa Solikowskiego. Kiedy jednak żydzi, dzięki solidarnemu wystąpieniu i zasługom żony Izaaka Nachmanowicza „Złotej Róży“ mogli zaintonować w ocalałej, na pomieszczenie Jezuitów przeznaczonej, synagodze hymn radości i zwycięstwa, to ostatecznie miasto musiało patrzeć jak w bezpośredniem sąsiedztwie prastarego miejskiego szpitalu i kościoła św. Ducha z jednej, a między dawnym klasztorem Franciszkanów z drugiej strony, wznosił się kościół nowy, który wspaniałością swoją i ogromem zaćmić miał wszystkie prawie świątynie lwowskie.

Opór miasta miał swoje źródło w obawie ukrócenia źródeł dochodu miejskiego. Pomiędzy murami było bardzo mało miejsca, a sporo go zajęły już przedtem klasztory i kościoły, wolne od opłacania podatków, ponadto pobożność ludzka, tak w dawnych czasach żarliwa, znosiła dalsze bogactwa i nieruchomości do furty klasztornej, a te znowu, jako własność martwej ręki wychodziły z pod władzy i juryzdykcji miejskiej. Na Jezuitów jednak nie było rady. Byli już w Krakowie i w nowej stolicy królestwa w Warszawie siedzieli bardzo silnie. Domy i kolegia Towarzystwa Jezusowego wyrastały wszędzie jak grzyby po deszczu, a Lwów zanadto był silną placówką, ażeby potężny i potężniejący z dniem każdym Zakon nie miał dołożyć wszelkich starań, rzucić wszystkie swoje wpływy na szali, ażeby się ulokować i we Lwowie.

Na razie przynieśli Jezuici ze sobą wiele postępu i światła. Na bruku lwowskim pojawili się tacy ludzie, jak klasyczny tłumacz biblji na język polski ks. Wujek, taki złotousty kaznodzieja jak ks. Piotr Skarga, a na wznoszące się mury kościoła nowego patrzyli z podziwem wszyscy lwowscy majstrowie murarscy, jako na zupełnie nowe formy stylowe. Chociaż bowiem były to już początki wieku siedmnastego, to we Lwowie, żyły

jeszcze twardo tradycje gotyckie, które znalazły swój spóźniony wyraz w dwu budynkach, wykończonych przy samym końcu wieku szesnastego: w synagodze Złotej Róży przy ulicy Blacharskiej i w domu Korniakta, dzisiaj kamienicy królewskiej, w rynku, gdzie świeżo odsłonione sklepienia ostrołukowe w parterze, wywołują podziw i zachwyt znawców. Pozatem królującym gustem był renesans, przyniesiony do Lwowa przez Włochów z Quadro Lugano i indziej z pod jasnego nieba Italji. Równocześnie prawie z wznoszeniem liczył się z majstrami miejscowymi i drobnymi ich środkami. Miał do dyspozycji i dobrych architektów i bogatych przedsiębiorców budowlanych, artystyczną rutynę, światowe wzory. Tutaj też leży źródło jezuickiej architektury kościelnej, której tyle mamy pomników na ziemiach polskich, Pierwsi Jezuici w początkach wieku siedmnastego wprowadzili typ kościołów włoski o krzyżowem założeniu i centralnej kopule, z szeregiem kaplic po bokach nawy głównej, albo też kościoły o szerokich ozdobnych frontonach, tak właśnie



KOŚCIÓŁ JEZUITÓW WE LWOWIE W DAWNEJ POSTACI
(z wieżą zburzoną w r. 1830.)

się murów kościoła Jezuitów zabudowywał się rynek lwowski w stylu odrodzenia, takim jakim go dziś widzimy na kamienicy Bandinellich (rynek l. 2.) dawnym domu Nikanora Anczewskiego (rynek l. 4.) lub kamienicy Pawła Dominika Hepnera (rynek l. 28.)

Na takie to formy stylowe, wykuwane przez siły miejscowe i szybko polonizujących się Włochów, na to przystosowywanie motywów sztuki włoskiej do warunków lokalnych i chmurnego nieba lwowskiego i miejscowego gustu spadła budowa nowej świątyni, jakby rewolucja w dotychczasowych pojęciach. Bo potężny Zakon nie jak w ich kościele lwowskim, z pilastrami, wieżami bocznymi itd.

Wówczas jeszcze nie był to zdecydowany barok, ze swymi silnymi efektami, ale raczej zastosowanie i rozwinięcie motywów późnego renesansu.

Budowa kościoła Jezuitów we Lwowie postępowała stosunkowo zwolna, a każdy jej szczegół, odsłoniony z pod rusztowań, wywoływał prawdziwe potoki zachwytu, który doszedł do kulminacyjnego punktu po zasklepieniu nawy głównej i ozdobieniu jej całym szeregiem złoconych posągów. Kronikarz jezuicki ks. Wielewicz

pisze pod rokiem 1637: „misternie w gipsie rzeźbione w rzeźbach osadzone obrazy świętych bogato złocone, tak że błyszcząc cudownie, porywały umysł patrzących i zachwycały. Nic podobnego minione wieki nie widziały we Lwowie, a nasz wiek ani się mógł tego spodziewać“.

Dzieje budowy, wzrostu, przeróbek kościoła jezuickiego we Lwowie są równocześnie dziejami Jezuitów lwowskich, a właściwie historją olbrzymiej ofiarności społeczeństwa, na rzecz Zakonu. Zapisy, testamenty, legaty, ofiary wdowiego grosza dochodziły do sum olbrzymich, a część pewna weszła i w kościół, w którym każda kaplica, każdy ołtarz, każdy sprzęt nieledwie pochodził z daru tych, którzy widzieli w nim przedsionek do wiekuistej szczęśliwości. W ośmnastym wieku był to już kościół, tak jak obecnie trzynawowy z wieżą, która była najwyższą we Lwowie, z olbrzymim gmachem kolegialnym szeregiem pomników, kaplic fundacyjnych, bractw, z cudownym obrazem, z freskami Ecksteinów i niezwykle bogatym aparatem kościelnym.

Kasata Zakonu położyła kres tej świetności. Kiedy po wydaleniu całego zgromadzeuia zakonnego w dniu 28. września 1774 w liczbie 47 osób t. z. komisja abolicyjna przystąpiła do spisania pozostałego majątku, to się przekonano, że Jezuici w przeciągu niepełna dwustu lat pobytu we Lwowie dorobili się tutaj majątku, który oszacowano na 3,473.243. złotych reńskich. Czego nie posiadali Jezuici lwowscy! Budynek kolegialny i gmach szkolny, obserwatorjum astronomiczne, grunta z kamienicami, za miastem ogród z różnymi domami, bursę muzyków, a nawet dom zajezdny.

Kapitałów ruchomych znalazło się 363.095 złr. kościelne naczynia oszacowano na 605.460 złr. aparaty kościelne na 241.424 złr. Oprócz tego posiadali Jezuici drukarnię, aptekę, jedenaście folwarków, pięć jurydyk na samym obszarze miasta Lwowa.

Wszystko to za jednym zamachem zostało zniszczone, sam kościół przez długie lata stał opustoszały, nawet wieżę z niego zdjął rząd austrjacki w r. 1830, obawiając się, ażeby nie runęła.

Dopiero po powtórnem wprowadzeniu Jezuitów, rozpoczął ich kościół nowe życie i dziś po trzechsetletniem istnieniu jest znowu w stadjum... porastania w pierze.

Całokształt dziejów polskich.

J. Grabiec: Dzieje Narodu Polskiego. — Spółka Nakładowa „Książka“.

Zakończenie, w którem autor uogólnia dzieje narodu polskiego, jest wspaniałe. Obraz, który kreśli piórem poetycznem, podnosi ducha i napawa serce otuchą lepszej przyszłości. Jaka szkoda, że całego opowiadania autor nie utrzymał w tym nastroju, który tak głośno i ujmująco zadźwięczał w zamknięciu dzieła!

Ależ to sprzeciwiałoby się ścisłości objektywnej, którą autor chciał zachować! Czy jednak jest ona możliwa a nawet potrzebna, kiedy opowiadamy dzieje narodów, a zwłaszcza dzieje własnego narodu? Czy możemy zagłuszyć uczucia swego serca, wyrzec się swych przekonań? Czy będąc sami cząstką narodu, możemy się nie cieszyć, kiedy chlubny blask bije mu z czoła i wzbudza cześć u innych narodów; czy możemy nie boleć, widząc jego upadek, nieszczęsną jego dolę; czyż uczucie oburzenia i zemsty nie zadrga w sercu, kiedy patrzymy na krzywdę mu wyrządzoną? A przekonania? Czyż zwycięstwo zasad demokratycznych i sprawy republikańskiej mamy opowiadać z takąż obojętnością oschłą, jak ich przegraną i upadek? I czy jest to potrzebne? Historja nie jest nauką abstrakcyjną, a nawet abstrakcyjno-konkretną, jak n. p. socjologia, z której współudział uczucia zostaje wykluczony. Historja stoi na granicy pomiędzy nauką i zwykłą powieścią, jest — można powiedzieć — naukową powieścią. Naukowość jej polega na tem, ażeby to, co opowiada, nie było zmyślone, chociażby prawdopodobne jak w zwykłej powieści, ale opierało się na faktach prawdziwych. Od historyka należy wymagać tylko prawdy, lecz nie ukrywania uczuć i przekonań.

Grabiec opowiadanie dziejów narodu polskiego doprowadza, co jest bardzo ważnem, do najnowszych czasów. Z bardzo łatwo zrozumiałych powodów, historja przedrozbiorowa jest o wiele dokładniej opracowana od historji porozbiorowej. Autor, opierając się na najnowszych pracach w dziedzinie dziejopisarstwa polskiego, wielostronnie oświeca obraz życia narodowego, tak ze strony politycznej i umysłowej, jak też ze strony społecznej i ekonomicznej. Szkoda tylko, że po każdym rozdziale nie wskazał ważniejszych opracowań historycznych, w którychby zaciekawiony czytelnik mógł znaleźć szczegółowe przedstawienie opowiedzianych wypadków.

Pomijając drobne usterki, w historji przedrozbiorowej widzimy dwa ważne — zdaniem mojem — niedostatki.

Pierwszym jest pobieżnie przedstawiony przez autora gminny ustrój pierwotnych społeczeństw słowiańskich, a więc i polskich. Jest to bardzo ważna wstępna karta w opowiadaniu przebiegu życia narodowego, która nabrała jeszcze większego znaczenia, wobec licznych nowszych badań ustroju pierwotnych społeczeństw u różnych narodów. Na brak badań w tym kierunku nie możemy narzekać, że wspomnę tylko prace Lelewela, Maciejowskiego, Moraczewskiego. Ażeby dokładniejszym i wyrazistszym obrazem ustroju gminnego nie powiększyć rozmiarów książki, mógłby autor bez żadnej szkody pominąć wiele szczegółów, zwłaszcza z okresu walki książąt pomiędzy sobą. Pojawienie się państwowości u plemion pol-

skich przedstawia dotąd jeszcze bardzo sporną kwestję. I dziwnie brzmią słowa autora, gdy mówiąc, że z odejściem sąsiadów pobratymców zrobiło się tym plemionom luźniej i bezpieczniej, ciągnie dalej: „można było wówczas pomyśleć o stworzeniu własnych organizacji państwowych, o rozwoju kulturalnym, gdyż spokój był zapewniony na długo“. Czyżby w samej rzeczy autor mniemał, że pierwotne plemiona wytwarzały swoją organizację państwową podług obmyślanego planu? I do tego wówczas, kiedy zapewniony był spokój na długo. Tymczasem nawet ci, którzy nie przyznają podbojowego początku państwa, tłómaczą jego pojawienie się koniecznością obrony od napadu sąsiadów.

Drugim ważnym niedostatkiem — podług mego widzenia rzeczy — jest za mało uwydatniony obraz połączenia się Polski z Litwą. Nie można powiedzieć, ażeby autor nie przedstawił powodów, które skłoniły oba państwa, polskie i litewsko-ruskie, do zawarcia ścisłego przymierza z sobą. Lecz fakt unii Polski z Litwą świeci takim wyjątkowym blaskiem nie tylko w naszych dziejach, lecz w dziejach całej ludzkości, że zasługuje na to, ażeby wraził się potężnie w pamięć każdego z czytelników. W ogóle dążność rozrostu państwa polskiego w drodze unii, zapewniającej wzajemną wolność i równość, nawet w stosunkach z Moskwą — zasługuje na uwydatnienie w dziejach naszych.

W historji porozbiorowej dałoby się wytknąć sporo usterek, chociaż nie są one tego rodzaju, ażeby odbierały wartość wykonanemu dziełu. Do ważniejszych takich usterek zaliczam nagłówek w tytule rozdziału XXIII.: Rządy zaborcze chcą oprzeć się na ludzie polskim dla zgermanizowania i zniszczenia narodu“. W samych tych słowach widoczna jest sprzeczność. Lud jest częścią narodu. Kto dąży do zniszczenia narodu, nie może szczerze popierać interesów ludowych, a więc chyba trzeba rozumieć, że oparcie się na ludzie nie znaczyło popierania jego rozwoju, lecz użycie go na pewny przeciąg czasu za narzędzie do niszczenia świadomej części narodu. Prawdopodobnie autor miał to ma myśli, tymczasem sformułowanie nagłówka sprowadza dwuznaczność. W opowiadaniu bowiem autor przeczy faktami, jakoby rządy najezdźcze dbały tylko o polepszenie bytu materjalnego włościan. Sam on powiada, że rząd pruski pozostawił stan rzeczy po dawnemu, w dobrach zaś państwowych podwyższył podatki; w zaborze zaś austrjackim zaraz po pierwszym rozbiorze spadła na chłopa uciążliwa rekrutacja i obłożono go olbrzymiemi podatkami. Niedokładność nagłówka i w tem jeszcze się przebija, że do rządów zaborczych należał i rząd rosyjski, a przecież nie można powiedzieć, ażeby on w swoim zaborze dążył do germanizowania narodu.

B. Limanowski.

Do historji ceramiki polskiej.

Między kilku przedmiotami z ceramiki polskiej, przechowanymi w Uniżu, mam także duży puhar o górnej średnicy 95 mm. a 20 cm. wysoki, formą bardzo szlachetny, o rysunku z epoki późnego odrodzenia z marką „B o d z e n t y n“. Puhar ten z gliny palonej, którą Francuz nazywa „en grès“. a której Niemcy używali w ciągu XVII w. w Röhren i Kreussen do podobnych, w całem tego jednak słowa znaczeniu doskonałych i wysoce artystycznych, dziś tak bardzo cennych przedmiotów, jest pokryty świetnie błyszczącą glazurą. Malowidło mozaikowe pod glazurą robi w pierwszej chwili wrażenie, że puhar ten wykuty jest w cennym, różnokolorowym żyłkowatym kamieniu. U spodu, na stronie wewnętrznej podstawy, znajdujemy pod glazurą markę wklęsło rytą: „Bodzentyn“.

Miejscowość tę w gubernii kieleckiej znamy dobrze w historji kościoła i kraju. Biskup krakowski, Bodzanta, erygował tam w roku 1335 kościół murowany, a jeden z jego następców Florjan Morski wybudował zamek, który w XVI już wieku, chylił się ku upadkowi, tak że go w r. 1515 biskup Jan Konarski musiał przebudować. Kościół i ruiny zamku, jedne z wielu pomników naszej świetnej przeszłości, znajdują się obecnie w nader opłakanym stanie.

Kiedy powstała w Bodzentynie fabryka wyrobów ceramicznych, i to pod artystycznem kierownictwem, jak świadczy nasz puhar, kto ją założył, kto ją prowadził i do kiedy istniała, mimo usilnych poszukiwań nie zdołałem znaleść śladu. W podręcznikach i zapiskach traktujących czy to o Belwederze, Korcu, Ćmielowie, Romanowie i tylu innych, marki „Bodzentyn“ — nie spotkałem; ani w żadnym ze znanych mi zbiorów — przedmiotu taką marką opatrzonego, nie widziałem.

Celem więc niniejszej notatki jest poruszenie i naukowe zbadanie kwestji i fabryki wyrobów ceramicznych w Bodzentynie.

Kazimierz Przybysławski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Juljusz Słowacki w świetle swoich pism religijnych napisał ks. J. Ciemniewski. Lwów 1910. Gubrynowicz i Syn. Referat autora, wygłoszony na zjeździe historyczno-literackim we Lwowie 1909 r., uzupełniony wynikami dyskusji. Autor jeden z światlejszych umysłów, nietylko wśród duchowieństwa, przestrzega katolików przed błędami gnostyckimi, które się trafiają w pismach Słowackiego, narzekania jego na zastój i strupieszałość kościoła odnosi do duchowieństwa, jako wyrzut i skargę na jego wady, na ogół zaś znalazł autor w pismach Słowackiego „pełno myśli

Bożych i słów natchnionych, które tylko wiara głęboka mogła podyktować“.

Budowa świata napisał Marcin Ernst. Lwów H. Altenberg 1910. Punktem wyjścia niejako, dla całego niezwykle ciekawego zbiorku rozpraw astronomicznych jest wstępna dysertacja o matomanach w astronomji. Matomanami nazywamy ludzi, którzy, nie posiadając dostatecznego przygotowania naukowego, stają w otwartej opozycji względem najsilniej ugruntowanych poglądów naukowych i tworzą na ich miejsce teorje własne, niczem nie uzasadnione, a często tak dziwaczne i niedorzeczne, że tylko zboczeniu umysłowemu autorów ich powstawanie przypisać można. Z matomanami takimi, jak Falb znany przepowiadacz pogody i inni rozprawia się autor bardzo surowo, przynosząc w miejsce pomylonych teorji, szkice o zaćmieniach słońca, o nowych gwiazdach, o budowie świata, kosmogonji. Są to rzeczy pisane dla inteligentnej publiczności, z zachowaniem jednakowoż całej ścisłości naukowej. Lektura aktualna wobec zjawisk niebieskich ostatnich czasów, które jak kometa Haleya, lub kometa 1910. zajmują obecnie powszechną uwagę. Główna wartość książki leży w tem, że podaje najnowsze wyniki badań astronomicznych, będących wymownym wyrazem potęgi ducha ludzkiego i jego bystrości, która krok za krokiem wydziera dalekim światom ich tajemnice a tak równocześnie jest daleka od poznania prawdy i sił poruszających bezmierne masy słońc i brył niebieskich.

NOTATKI.

Z badań nad historją sztuki. Na ostatniem posiedzeniu Komisji historji sztuki Akademji Umiętności, członek Komisji Dr. Al. Czołowski przedstawił szereg komunikatów, odnoszących się do dziejów zamku królewskiego w Żółkwi, siedziby króla Jana Sobieskiego a następnie Radziwiłłów. Zamek będący dzisiaj w częściowej, ruinie, jak świadczą inwentarze jego skarbca, zawierał wspaniałe urządzenia i pomniki, które ks. Michał Radziwiłł przeniósł do Nieświeża. Ogołocony Zamek popadł dopiero przed niedawnym czasem w ruinę, gdyż na widoku, publikowanym w „Przyjacielu Ludu“ — główna jego fasada jest nienaruszoną. Widok akwarelowy Zamku ze zbiorów Pawlikowskich we Lwowie daje pojęcie o rozmiarach tej monumentalnej budowli.

W dalszym ciągu przedstawił prelegent fotografje obrazów z klasztoru OO. Bernardynów w Krystynopolu, oraz inwentarze zamku Krasiczyńskiego, obejmujące galerję obrazów rodziny Miączyńskich. Z podróży swej po Szwecji przedstawił prelegent zabytki polskie znajdujące się w zamku Skokloster, należącego do rodziny Wranglów. W zbiorach tego zamku znajduje się gobelin biskupa wrocławskiego Mikołaja Gniewosza, tarcza i dwa karwasze Jana Zamojskiego Zbrojownia królewska w Sztokholmie posiada między innemi pamiątkami hełm z nakryciem misiurkowem i polskiemi napisami. Zamek w Gripsholm posiada około 200 sztuk portretów, między którymi znajdują się także i portrety królów polskich Zygmunta I, Zygmunta III, Jana Kazimierza w polskim stroju, Stanisław Leszczyński pędzla Migniarda w stroju oficera dragonów szwedzkich i wiele innych..

Prof. Birkenmajer przedstawił dwa rękopisy, będące własnością Biblioteki Jagiellońskiej a pochodzące z biblioteki astronoma Macieja Bylicy z Olkusza. Oba te rękopisy treści astrologicznej, ozdobione są inicjałami i miniaturami i pochodzą niezawodnie z daru króla Macieja Korwina, którego Bylica był wielkim ulubieńcem i na dworze którego przebywał.

P. Władysław Bartynowski przedstawił drzeworyt z herbową tarczą ornamentową, z herbami Godzięby, Janina i Skoki, znajdującą się przy penegiryku „Godzięba Cedr nieśmiertelny w polu Janiny, przy weselnym akcie Bazylego Godebskiego z panną Adelgundą Piasecką r. 1677“. Autorem tego drzeworytu jest Zaharias Zelimacher, dotychczas nieznany naszym historykom.

Nowa rasa. Cenny przyczynek do badań ras przynosi ostatnie amerykańskie sprawozdanie rządowe. W sprawozdaniu tem podane są tymczasowe wyniki badań naukowej komisji emigrantów, na czele której stoi Bras, profesor uniwersytetu kolumbijskiego. — Odnośny ustęp sprawozdania opiewa: Uderzającą jest szybka zmiana charakterystycznych cech emigrantów po osiedleniu się ich na ziemi amerykańskiej. Dzieci, które urodziły się wnet po osiedleniu się ich rodziców tutaj, wykazują najistotniejsze zmiany w porównaniu do europejskich ich rodziców. Różnice te występują w najwcześniejszej młodości i w dojrzalszym wieku rozwijają się coraz dobitniej. Przyczem przemianom tym podlega ciało w całej swej budowie. Nawet kształt głowy, uważany za najcharakterystyczniejszą własność dziedziczną, podlega temu wpływowi. Najdobitniej uwidacznia się to przejście u dzieci wschodnio-europejskich żydów, którzy wogóle najłatwiej i najprędzej podlegają wpływom amerykańskiego klimatu i warunkom życiowym. Badania komisji dokonywane są obecnie nad Czechami, Węgrami i Szkotami. Co się zaś tyczy Polaków i Rusinów, to sprawa zbadania ich stoi w stosunku z antropologicznymi pomiarami, jakie rząd amerykański polecił uskutecznić znanemu uczonemu drowi Witołdowi Schreiberowi. *B. J.*

Muzeum żydowskie we Lwowie. Znany zbieracz i numizmatyk p. Maksymiljan Goldstein wniósł do przełożeństwa kahału lwowskiego propozycję utworzenia przy kahale muzeum starożytności żydowskich. W muzeum tem znalazły by pomieszczenie przedewszystkiem zabytki przeszłości żydów polskich. Jest ich sporo marniejących po synagogach pod opieką ciemnych chasydów, jest po domach bogatszych żydów. Jak zaś one są ciekawe i co wogóle w tym zakresie zebrać można dowodem zbiory Matiasa Bersona w Warszawie. Stare księgi, nieraz illuminowane, przedmioty kultu religijnego, w niektórych wypadkach prawdziwie artystycznie wykończone, plany i fotografje synagog, zwłaszcza drewnianych, zabytki zwyczajowe itd. — wszystko to mogło by znaleść odpowiednie pomieszczenie w proponowanem muzeum. Na raie ofiarował p. Goldstein do przyszłego muzeum monety i medale odnoszące się do historji żydów.

Myśl tak pożyteczna i godna poparcia spotkała się z pewnym oporem w łonie samego kahału. Być może, że p. Goldsteinowi, a może i dr. Majerowi Balabanowi, historykowi żydów lwowskich, uda się trafną argumentacją, zniewolić kahał do zajęcia mniej opornego stanowiska.

Zabytki w urzędzie gminnym w Cieszanowie. W urzędzie gminnym w Cieszanowie znajdowało się bardzo wiele różnych aktów, przywilejów i zapisków, uległy one jednak, jak to u nas zwykle, zniszczeniu; dochowały się tylko niektóre ułamki, a to:

1. Zaświadczenie od gromady wsi Gorajec, że mieszczanie cieszanowscy od najdawniejszych czasów bydło swoje pasali „za Kurkową Górą y pod Babczyną na drożyskach równie z gromadą Nowosielską — dan 20. Januarji 807. Roku. Pieczęć gminy Gorajec.

2. Przywilej Aleksandra Stanisława z Bełzca na Cieszanowie y Łączynie Bełzeckiego, Wojewody ziem Podolskich dla żydów miejskich, określający prawa osiadania, budowania się i opłat. Dan w Zamku Cieszanowskim 1. sierpnia 1670, Przywilej opatrzony oryginalną pieczęcią z wosku, zawieszoną na jedwabnym sznurku, bardzo dobrze zachowaną.

3. Kopia przywileju Aleksandra Bełzeckiego z dnia 16. maja 1649., danego mieszczanom cieszanowskim po zniszczeniu miasta przez Chmielnickiego.

4. Taki sam drugi odpis.

5. Skarga mieszczan cieszanowskich w sprawie krzywd przez possesorów dokonywanych z d. 19. września 1783. (oryginał).

6. Mapa bonitacyjna powiatu cieszanowskiego przez Wojciecha Studzińskiego, z pierwszej połowy XIX. wieku.

7. Akt w języku rosyjskim z roku 1768. miesiąca września z pieczęcią oryg. *Karol Notz.*

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.